

Relacja z wyprawy Grenlandia/Kangerlussuaq – Churchill/Kanada (9 lipca – 4 sierpnia 2005):

Część I - GRENLANDIA

W Kopenhadze cała załoga odliczyła się w komplecie, na Grenlandię polecili jednak bez jednego – kapitana. Po zamachach terrorystycznych w Londynie zarządzono stan pogotowia i ostrzejsze procedury kontroli lotniskowej. Nie wystarczyło 2 godzin na odprawę zabieranej przez wyprawę broni - obsługa lotniska w ostatniej chwili cofnęła z samolotu bagaż kapitana, (właściciela broni). Przez niedopatrzenie nie prześwietlono jego największej torby podróżnej – świadczył o tym brak przyklejonego czerwonego punktu.

Załoga, „twardziele” ze Spitsbergenu, Hornu, Grenlandii przyjęli niespodziankę z zainteresowaniem – zaczyna być ciekawie, nic nie jest oczywiste i trywialnie przewidywalne, nawet stosunkowo prosty przelot samolotem.

Drobne kłopoty nie przeszkodziły w rozpoczęciu Wyprawy. Z błogosławieństwem „starego” dowództwo obejmuje zastępcą kapitana Zbyszek Jałocha. Zjawa IV zabiera się z odpływem w dół najdłuższego grenlandzkiego fiordu Sondre Stromfjord zagarniając po drodze dorsze na świeży prowiant (odmiana grenlandzka jest nieco mniejsza od atlantyckiej). Pierwszy odwiedzany port grenlandzki to Sisimiut – urocza osada tętniąca rybackim życiem. Przeczekując sztorm w zapelnionych kutrami porcie uzupełniamy zapasy wody, paliwa i części eksploatacyjnych jak i korzystamy z przyjemności kąpieli w otwartym basenie (brr!). Łowimy dorsze. Kapitan przybywa po 4 dniach (po kolejnych perypetiach) bardzo zadowolony z przymusowego weekendu w gorącej Kopenhadze. Zagospodarowany troskliwie przez innego żeglarzaobieżyświata, Andrzeja Kacalę (zamieszkałego tam na stałe), zwiedzał zakamarki duńskiej stolicy.

Mimo utrzymującego się silnego i zimnego południowego wiatru natychmiast ruszamy dalej na północ. W „nocy” Zjawa osiąga podczas zjazdów z 5-6 metrowych fal chwilami ponad 10 węzłów. Rankiem, po wejściu na spokojne wody między wyspami, następuje najlepszy połów ryb. Wchodzimy do Assiaat ukrytego wśród wysp na południu zatoki Disko, a potem do najdalej na północ położonego portu wyprawy, perły turystyki grenlandzkiej - Ilulissat. Czoło lodowca, cielącego się chętniej w promieniach letniego słońca wyrzuca w zatokę Disko olbrzymie masy brył lodowych (20 kilometrów sześciennych lodu w sezonie – to największa porodówka gór lodowych poza Antarktydą). Otaczają one szerokim wachlarzem miejsce swego narodzenia. Wycieczka lądowa dociera skalistym brzegiem do jądra przemian. Stoimy ponad godzinę oniemiały z zachwyty, chłonąc potęgę lodu i morza, lodowaty wiatr na twarzy i surową czystość krajobrazu.

Osada Ilulissat tętni życiem. Na boisku piłkarskim, wykrojonym wśród skał, zespoły gospodarzy (kilkukrotni mistrzowie Grenlandii w piłce nożnej) i goście z sąsiednich wiosek rozgrywają niedzielny turniej. Trybuny szaleją w dopingowaniu swoich, a zwycięzcy turnieju jeszcze parę następnych godzin świętują wraz z fanami, krążąc tanecznym i śpiewnym korowodem. Częstym elementem krajobrazu są bezrobotne psy. Przymocowane długimi linkami nudzą się setnie wyglądając pierwszego śniegu. O pracy w psim zaprzęgu przypominają stojące obok drewniane sanki.

Przygotowujemy się do skoku przez Cieśninę Daviesa do Kanady. Sztormowe, południowe wiatry zmuszają nas do taktyki zdobywania wysokości pod osłoną wysokiego brzegu Grenlandii. Początkowe mile żeglugi, jeszcze pod osłoną południowych brzegów zatoki

Disko są cudowne, w czasie przejścia przez pole lodowe nikt nie schodzi pod pokład, cały czas pracują aparaty fotograficzne. Przed północą rozpoczyna się szalony festiwal światła niskiego, północnego słońca na okolicznych górach lodowych. W cieśninach pojawiają się jeszcze wieloryby, a potem już bardzo mozolnie jedziemy na południe zawracani czasem sztormowym wiatrem, szacując zdobytą wysokość. Prognoza jest jednoznaczna. Od Kanady oddziela nas pas sztormu z SE, który odpowiednio wykorzystany będzie szybkim ekspresem do Kanady, zaś źle skalkulowany rzuci nas w pas lodu dryfującego na południe wzdłuż wybrzeża Ziemi Baffina.

Część II - KANADA

Wreszcie jest decyzja. Z małego Kangamiut (gdzie spotykamy wśród mieszkańców znajomych z poprzedniej wyprawy sprzed 2 lat) odrywamy się od wybrzeża Grenlandii w kierunku SW. Przewidując cięższą żeglugę przygotowujemy dodatkowy wypiek chleba. Po niespełna dobie wjeżdżamy w oczekiwany sztorm. Na sztormowych żaglach jedziemy 6,6 węzła, potem 7, wreszcie prawie 8 węzłów. Siekący po twarzy lodowaty deszcz wciera się w skórę. Wachta na dziobie wypatrująca zabłąkanych brył lodu zmienia się co 15 minut. Od początku, korzystając z wcześniejszych doświadczeń z rejonów arktycznych stosujemy wachty 3 godzinne. To wystarcza, żeby zwalić się po wachcie w koję z gorącym pragnieniem - odpoczynku – ciepła i snu. Żegluga w tych rejonach ma jeszcze jedną osobliwość: duża (ponad 40 stopni) deklinację magnetyczną – związaną z bliskością bieguna magnetycznego, wskazania kompasu magnetycznego i GPS są bardzo rozbieżne. Przed Ziemią Baffina wiatr słabnie. Zaczynamy myśleć o kanadyjskich specjalach nawigacyjnych – pływach i polach lodowych, a także o specyficznym, jak się wkrótce okaże języku locji. Już pierwszy odwiedzany port okazuje się wielkim niewypałem. Pritzler Harbour ma zadatki na świetny port schronienia, z jedną wadą, jest kompletnie niezamieszkały. Odkrywamy przewrotność nazw geograficznych: wita nas Black Bluff, potem zaś miejsca z „harbour” w nazwie, ale kompletnie bezludne – stąd może i dowcipne nazwy, jak np: Sorry Harbour czy Mistake Harbour, pasujące jednak znakomicie do całości geograficznej META INCOGNITA PENNISULA. Samo wejście w Cieśninę Hudsona miało swoje specyficzne emocje: w wąskiej Annapolis Strait spotykamy zmienne prądy pływowe o prędkości do 5 węzłów (wystarczające do praktycznego zatrzymania Zjawy w przypadku braku korzystnego wiatru) i wiry jakby gotującej się wody.

Locja zapewnia, że Lake Harbour (Kimmirut) jest zamieszkały. Dość pogmatwane podejście wiedzie 10 Mm pomiędzy mieliznami, skałami i wyspami do niewielkiej wioski liczącej niespełna 300 mieszkańców. Łączność ze światem zapewnia im niewielkie lotnisko, a zaopatrzenie - przypluwający raz do roku statek. Zapisani wcześniej mają szansę odwiedzić urządzony na statku gabinet dentystyczny. Ludność trudni się rzeźbiarstwem i polowaniem, a porządku strzegą dwie policjantki zmieniające się raz w miesiącu. Przestrzegły nas od razu na wstępie, że prowincja Nunavut jest „dry” - obowiązuje bezwzględny zakaz posiadania i spożywania alkoholu, szczególnie w kontaktach z Inuitami. Ciekawostka nawigacyjna: skok pływu w dniu naszej wizyty wynosił 10,60 m. Dla bezpieczeństwa wychodzimy z wysoką wodą.

Lake Harbour jest dla nas spełnieniem części pionierskich, żeglarskich pragnień. Jesteśmy pierwszymi polskimi żeglarzami, którym udało się dotrzeć na Ziemię Baffina.

Niewidzialne siły natury w postaci silnych prądów pływowych odczuwamy na całej Hudson Strait obserwując okresowe znaczne spadki i przyrosty prędkości jachtu. Na zmianę mamy

również sztorm i okresy słabego wiatru. Stałe są za to mgły, deszcz i temperatura nie przekraczająca w nocy 0°C, a w dzień 5-6°C.

Prawie wszyscy kaszlą, rzadko stosujemy sztuczne ogrzewanie. Mesę oddziela od świata zewnętrznego jedynie zawieszony w zejściówce koc. Podziwiamy Innuity, którym do noclegu przy 40 stopniowym mrozie wystarczy jedynie kamienny murek osłaniający przed wiatrem.

Brzegi Hudson Strait są skaliste, porośnięte mchem i trawą, bez jednego choćby drzewka. W wodzie nie zauważamy życia. Popularne na Grenlandii połowy ryb nie udają się. Tubylcy potwierdzają nasze doświadczenia, tu nie ma ryb, choć czasem udaje się im złapać „arctic char”, zaś późnym latem przybywają łososie. Obserwujemy na wodzie i w powietrzu pojedyncze ptaki. Zarówno latem, jak i zimą skute lodem wody Hudson Strait i Hudson Bay są wodną i lądową pustynią.

Do Coral Harbor (Salliq), jedynej osady na południu Southampton Island, pierwszego portu Zatoki Hudsona nie wchodzimy, choć po raz pierwszy w Kanadzie widać niewielki pomost – jest za płytko. Co gorsza, kotwica na kamienistym płytkim dnie w ogóle nie trzyma. Porywiste silne wiatry miotają kadłubem na wszystkie strony powodując niebezpieczne wleczenie kotwicy po dnie. Skracamy zatem pobyt do 4 godzin. Ciepły prysznic, pierwszy od 10 dni wynagradza wszystko. Towarzyscy Innuici przyjmują nas serdecznie, wożąc na ląd kolejne grupy motorówką. I tutaj łączność ze światem zapewnia lotnisko. O tym gdzie jesteśmy i pożytkach z posiadania broni palnej przypomina znaleziona kilka mil od osady dosyć świeża czaszka i kręgosłup niedźwiedzia polarnego (Inuici mają prawo do polowań)

Wejście na Hudson Bay ma również charakter wyczynu żeglarskiego – jesteśmy pierwszymi polskimi żeglarzami w tych trudnych okolicach (poza oddaleniem i ciężkimi warunkami mapy na dodatek ostrzegają o chaotycznych wskazaniach kompasów w tych rejonach). Z nadzieją na ciepło wykreślamy kurs południowozachodni do Churchill. Cały akwen zatoki Hudsona (bez skalistych obrzeży) stanowi poligon wojskowy, i mimo, że nasza wizyta jest już zapowiedziana od kilku miesięcy odczuwamy dreszczyk niepokoju. Mapa i locja zapewniają, że tu się strzela ostrą amunicją. Nie chcemy stanowić dla nikogo ruchomego celu.

Temperatura wzrasta. To jeszcze nie czas T-shirta, ale w nocy nie jest chłodniej niż 5°C i można przejść na pojedyncze rękawice. Wzrasta też nadzieja na połów ryb. Spotkane na pełnym morzu stada morsów muszą przecież coś jeść. Nocna zorza przypomina, że nadal jesteśmy w Arktyce, w pobliżu bieguna magnetycznego. Jej fantastyczny spektakl we wszelkich odcieniach bladej zieleni (tak świeci jonosferyczny tlen) 80 kilometrów nad masztami Zjawy trwa pół godziny i zostaje przerwany przez wejście w obszar gęstej mgły.

Wieczorem następnego dnia łaskawy Neptun chrzci dwie arktyczne neofitki – otrzymują imiona: Paffzorzypolarnej (dawniej Dorota) oraz Tańczącanabezanie (dawniej Monika). 15 Mm od Churchill uderza nagle sztormowa „czarna chmura” - specjalność tych rejonów, nagle uderzenie wiatru o sile szacowanej na 60 węzłów nie powoduje jednak żadnych strat. Szczęśliwie wpływamy do oznakowany farwater wiodący do portu.

Churchill ze swoim tysiącem mieszkańców i brakiem drogowego połączenia z resztą Kanady wita nas białymi niedźwiedziami na cyplu za miastem, stekami z karibu i atmosferą Przystanku Alaska. Szybko znamy już wszystkich. Cóż, nie dość, że jesteśmy pierwszym polskim jachtem na tych wodach, ale także piątym jachtem żaglowym w historii Churchill.

Świętujemy hucznie do 5 rano tańcząc na szerokim pokładzie rufowym holownika Hudson Bay Explorer.

Temperatura w Churchill - 26°C przypomina, że mamy lato. Jutro najtrudniejszy dzień rejsu – rozstanie.